



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## CIEŻKIE CZASY.

II <sup>1)</sup>.

„Fatum Starożytnych wedle samowiedzy ludów chrześcijańskich przeniosło się z zamglonych niebiosów w mętne głębie serc ludzkich i każdy nosi w sobie fatum swoje”, napisało przed laty kilku w piśmie naszym pióro szlachetne i rozumne, dając nam tarczę obronną przeciw smutkowi i zniechęceniu, które ogarniać może serca w warunkach życia trudnych i łamiących siłę woli ludzkiej. Dziś jest, niestety! spotęgowany moment położenia takiego—czasy, które się zowią ciężkimi! Gnioł nas one pod zaciągniętem chmurami niebem, lecz to powinno być naszą przeciwko nim odpornością, abyśmy, ciężkość ich czując i całą nieprzemijającą jej doniosłość rozumiejąc, nie wytworzyli sobie z niej w umysłach czegoś wyrocznego, co do nas do ziemi przyprzeć i zmiażdżyć musi.

Poszukać sobie wśród czasów ciężkich takiej formy istnienia, aby zagłady ująć i życie utrzymać, to obowiązek tych ludzi i społeczeństw, które coś siły jeszcze w sobie czując, nie chcą się za ślepego losu niewolników uznać i nie mówią druzgoczącej ich sile, jak gladyatorzy w cyrkach: „Morituri te salutant!” Resztkami zapasów dawnych zwalczamy jeszcze, jedni lepiej, drudzy gorzej, następujące na nas ubóstwo. Oszczędzanie ich najwyższe, niedopuszczanie najmniejszego ich marnowania jest prostego już rozsądku i instynktu zachowawczego rzeczą; ale to w każdym

razie działanie tylko bierne i z tymczasowością związane, poza którym dla każdego wzroku, o skali widzenia rozleglejszej, otwierać się musi perspektywa czarna, jak przepaść, bo wyczerpanie się wszelkich niepomnżanych zapasów jest koniecznością nieuniknioną. Może z biedą starczyć ich nam, ale cóż będzie z pokoleniem po nas idącym, które się ujrzy uboższemu o cały brak jeszcze przez nas posiadanych okrucich? Przecież „fatum nasze jest w nas” i trzeba też rodzicom dzisiejszym wyposażyć dzieci swoje w takie organizmy moralne, aby mogły utrzymać życie w warunkach nowego stanu rzeczy i nie były pokoleniem nędzarzy, wymierających śmiercią głodową, zostawiających po sobie tylko cmentarz ogromny! Myśl o nowo warunkowanych zasadach wychowania spadkobierców naszych jest świętym obowiązkiem rodziców.

Jeżeli przewidywać musimy, że życie zstępnych naszych ma być twardszem, prostszem, surowszem jeszcze, niżeli przez nas wiedzione, należy też dać im twardsze, prostsze, surowsze nawyki, aby je mogli znieść bez słabnięcia, bez gorzkiego uczucia niedoli, uważania za brak i nie szczęścia tego, co ma być koniecznym ich życia udziałem, ich losem nieuniknionym. Wychowanie powinno tego dokonać, i jest to, nietylko rozum, ale nawet miłości rodzicielskiej, nakazem najwyższym, aby od sukni, która rosnące dziś dzieci odziewa, od ścian, które są ich domem, do pojęcia o szczęściu, pięknie, godności ludzkiej, wszystko zostało ustosunkowanem do tej czekającej ich przyszłości—wszystko podporządkowało jej bieżącą terażniejszość.

Jak natura daje zwierzętom klimatów ostrych obronne futra na zimę, tak jest to obowiązkiem rodzicielskim zaopatrywać dzieci w zdolność znoszenia tych mrozów życia, które je spotykać mają. Rozpieszczić, wydelikatnić, stworzyć potrzeby i pożądanja, które dla możności zadowolenia się nie posiadają żadnego pewnego gruntu, i wypu-

ścić tak na świat, na grude jego kolei istoty nieradne, niezdolne otaczających je warunków zmienić i siłą chęci swojej przepierać, to okrucieństwo raczej, niż miłość, jakkolwiek chciałaby się nazwać niby przez zbytek swej siły—słabą i ślepą...

Niema prawdziwej miłości słabej, niema prawdziwej miłości ślepej,—jest tylko miłość powierzchowna, niechcąca się męczyć, miłość samolubna, przyrykająca oczy, aby się nie pozbawiać oduczucia swego procentu wrażeń miłych i te to dwie miłości samozwańcze dopuszczają się w wychowaniu zboczeń takich, jeżeli nie są one skutkiem bezmyślności leniwej, która stworzyła legendę o chłopie, odpowiadającym gajowemu:

— Nie było nas—był las!... nie będzie nas—będzie las!...

Ach! wiemy my już teraz, że lasu może nie być, że puszcza może gołej przestrzeni żalobą świecić! Jeżeli dojeść do szczytu fortunę, w spadku po przodkach wziętą i nie równomiernego dzieciom swoim nie zostawić, jest grzechem ciężkim i przeniwierzaniem się przeszłości względem przyszłości, coż przeciw, gdy się jeszcze doda do tego złe tych dzieci wychowanie, bez możliwego uzdolnienia do życia, bez możliwej dla tego życia podstawy?...

Jaki ciężar odpowiedzialności moralnej, jaka wina przed społeczeństwem i temi potomkami naszymi, których istnienie podzieliśmy u korzenia samego! Do historii takich rodziców i takich dzieci odnieść się może w dosłowności zupełnej to, co poeta (Sowa) woła do kobiety, której dzieci nie miłość na świat wyprowadzała:— „Dopowiedzą potem dzieje, z kąd są zdrajcy i złodzieje...”

Zkąd są spodleni i „dla miłego grosza” upadli z kąd są wykolejeni i nieszczęśliwi, których opuszczone ręce nie wiedzą czego się uchwycić mają—pokolenia, nad którymi załamują się dzieje? Miłość, której nigdy nie uznaję pod apokryfem słabej i ślepej—miłość rodzicielska, jeżeli jest



rzeczywistą, musi szczególnie łączyć w sobie owe przymioty, które jej Paweł św. przyznaje: być czujną i ostrożną, być rozumną i przewidującą i dlatego nie tylko wszystko chcieć, ale i wszystko móżdż! A to już pod zarzutem winy najcięższej miłość rodzicielska móżdż powinna, aby się z chwilą swego czasu rachowała i wychowywała dzieci do tego, co ich życia przeznaczeniem być musi. Obecnie tak moralne, jak fizyczne wychowanie młodzi klas zwanych wyższymi potrzebuje uledeż przeobrażeniom wielkim. Stare drogi się kończą: trzeba do nowych wdrożyć duchem i przygotować ciałem. Ciężkie czasy—to znaczy praca ciężka: potrzeba nam, jako społeczeństwu, ludzi mocnych i wytrzymałych, potrzeba nam jako jednostkom tej siły i wytrzymałości przymiotów, abyśmy nie byli nieszczęśliwymi, abyśmy nie byli złymi. Wytworność i wykuint, elegancja i aksamitne sukienki, z pozłocistych skórek trzewiczki, muszą ustąpić najpierw u tych wszystkich dzieci, dla których rodzice nie mają już dziś złożonych w ogniotrwałej kassie, lub w ziemi zawartych kroci. Dochód rodzicielski, to jeszcze nie norma tego, co dziecko, jako dostatek kiedyś posiadać będzie. Nie każdy syn zajmie stanowisko, przy którym utrzymał się jeszcze ojciec, nie każda córka tak pójdzie za mąż, jak jej matka, gdy były—czasy lepsze! Zostawiając na boku już to wszystko, co w szlachetnie pojętym wychowaniu podnosi się przeciw zbytkom, elegancjom, modom dzieci wszelkich klas i położeni majątkowych, i biorąc tylko stronę rzeczy praktyczną, jest to winą, którą piętnować można najsurowszymi zarzutami lekkomyślności i braku głębszego do dzieci swych przywiązania, gdy się widzi rzeczy takie w rodzinach czasowo zamożnych, lub niezamożnych tak, aby po rozdzieleniu się majątku rodzicielskiego na głów kilka, dzieci mogły bez nadwężenia posiadanej fortuny żyć według nawyków przez wychowanie im zaszczypanych. A cóż dopiero, gdy nad stan kosztowne utrzymanie dzieci już jest dla rodziców wysiłkiem i trudności życia przymnożeniem? Jak tacy rodzice mogą bez wyrzutu sumienia patrzeć na te istoty biedne, których przyszłość podkopują, którym zaszczybiają zaród nieszczęścia, a może upadku, winy, rozstania się z prostą drogą uczciwości i cnoty!

Bardzo często pyszność rodzicielska i pawienie się z dostatków swoich, najnędzniejsza, najgłębsza ze wszystkich próżności, próżność grosza—pieczę się do sfer arystokracji pieniężnej, wpływa na to. Nasze dzieci reprezentują nas i wielkość naszą, kassy naszej pełność: niechże zatem błyszczą i świecą, niech ludzie poznają po nich—objętość naszego worka!

Bywa i inna jeszcze, z samolubstwa, matek najczęściej powstająca przyczyna wychowania dzieci pod tym i innym względem nad ich stan i możność. Nie przypuszczają, aby to tak być miało? Jak to? Więc życie nie ma usłać różami drogi życia *ich* córki, *ich* syna? Ludzie nie mają się poznać na ich szczególnej piękności, na ich szczególnym rozumie i talentach? Więc też do stopnia tak przewidywanej przyszłości, do stopnia tych stanowisk i wyniesień, o których marzą dla dzieci swoich, wychowują je—podnoszą kierunek ich wykształcenia, ich urojenia się życiowego. Nie znam boleśniejszego dramatu nad życie jednej z francuzkich poetek pomniejszego kalibru: Elizy de Mercoeur. Bretonka rodem, szlacheckiego pochodzenia, mieszkała z matką wdową w którymś mieście swej prowincji a młodość, która sama w sobie jest poezią, może wreszcie pewna uczuciowość, malowniczy wyrazu dla siebie potrzebująca, sprawiała, że pisywała wierszyki ładne i udatne, jako forma—miłe, jako ów wyraz świeżych wzruszeń serdecznych; aż na nieszczęście spotkały na drodze swojej Chateaubrianda już starzejącego się. Dziewczę było powabne, poetyczność stała wtedy wysoko w cenie u ludzi: niefortunny starzec, wtórując chęciom matki, namówił biedne kobiety na przeniesienie się do Paryża, gdzieby córka mogła zostać literatką. I została nią. Przez parę lat była nawet modną w salonach, które im Cha-

teaubriand otworzył, Ludwik XVIII dał jakąś małą pensję, ale sława szersza przyjsć nie chciała, moda poszukała nowości; aż nagle wybuchnęła Rewolucja Lipcowa i doszła do tego, że nieszczęśliwa, wykołejona dziewczyna żebrała w nocy na posiłek dla umierającej z głodu matki. Julia Récamier wsparła je litościwie i ochronia od śmierci głodowej; przeciw matka poszła raz do Thiersa z pistoletem w rękę, bo nie mogła uwierzyć, aby to nie było sprawą prześladowania stronniczego, że jej córki nie uznała Francja za wielką, za genialną!

Biedna! wykołeiła życie młode, uczyniła je nieużytecznym i nieszczęśliwym przez uczucie niby miłości, która w piersiach wielu matek najwyższe tylko drogi dla dzieci swych przeczuwa, i w tym obłędzie wychowanie ich do tej skali przyszłego ich losu stosuje. W towarzyskiej sferze Elizy de Mercoeur było dotąd najwięcej ofiar wychowania nad stan, wychowania bez pewnego gruntu przyszłości. Dziś i tam już wkroczyła trwoga i niepokój; robią się usiłowania w kierunku innym, bardzo często niepraktyczne, bo jeszcze drogi są nowe i nieurtarte, ale już się robią, tylko, że nie od podstaw—nie od pierwszych wychowania zaczątków.

Wychowanie fizyczne twardsze i surowsze, lepiej przygotowujące do warunków życia tak pracowitego, że trzeba wręcz przyłożyć rękę do trudu, który jest już znojem na czole, tak niewybrednego, że się przed czarnym chlebem nie cofa—to może najpilniejsza sprawa w edukacyjnej reformie naszej, której przeciw musi towarzyszyć, jako dopełnienie, i reforma w pojęciach o szczęściu i godności człowieka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## POGA WĘDKA.

Wypadki chodzą po ludziach. Dwa tygodnie temu „zapodziałem się“ gdzieś bez śladu, zniknąwszy z Warszawy, a jak się teraz pokazało: wyjechałem na spotkanie „babiego lata“ za rogatki miejskie, by choć raz odetchnąć wolniej—i czystszej powietrzem. Wraz ze mną zapodziała się pogawędka, której zniknięcia dotychczas naturalnymi środkami wytłómaczyć sobie nie umiem.

Pisałem ją na wyjeździe „piórkiem pawia“, starając się o wydobyte wszystkich zalet, jakie felieton *comme il faut* posiadać powinien: a tymczasem nieszczęście chciało, że rękopismo zaginęło i w szeregu moich pogawędek została luka, nad którą geniusz *Bluszczo* nie stanie wprowadzić z załamanami rękoma, ale która mogłaby zbudzić podejrzenie moich łaskawych czytelniczek, że się opuszczam, że leniwiej i zaniedbuję obowiązków w corocznym prospekcie uroczyscie odnawianych.

Chciałem się wycisnąć, jak gąbkę, z nasiąkniętych wyziewów miejskich i odświeżony powrócić z nowym humorem, świeżym animuszem, wypoczęty, wzmocniony do dalszej pracy: a tu na wstępie dwie nowiny kwaszą mi najpiękniejszy uśmiech, jakim okraśliłem ogorzałe na wiejskim słońcu oblicze; zgubiono mi manuskrypt i zapowiedziano cholera.

Nie mogłaby się cholera zgubić a rękopism znaleźć?... przecież losom to wszystko jedno.

Wyznam otwarcie, że odkąd przeczytałem w pismach naszych wiadomość o przygotowaniach czynionych na przyjęcie epidemii, o urządzeniu oddziałów cholerycznych po naszych szpitalach i zamiarze wybudowania osobnych baraków, jakoteż o organizowaniu służby sanitarnej, zacząłem powątpiewać o odwiedzinach strasznego gościa, który lubi niespodzianki wyprawiać miastom.

Skoro Warszawa zaalarmowana telegramami z Pesztu, tak energicznie wzięła się do obrony przed najściem zarazy, to może przed pierwszymi mrozami nie doczekamy się jej ataku, a po

pierwszych mrozach będziemy mieli w zimie sprzymierzeńca.

W każdym razie, zyskałobyś coś na doświadczeniu i na strachu; przynajmniej przybyło nam energii odpornej.

Teraz polećmy się jeszcze naszym stróżom, służącym, pomywaczkom, by chcieli po wszystkich kątach zachowywać czystość wzorową, sami zajmijmy się dezynfekcją i higienicznym odżywianiem, a potem według rady d-ra Ochorowicza „nie bójmy się“ ani trochę, i da Bóg, wszystko dobrze będzie.

Wróciłem z łona natury takim optymistą, że wierzę nawet w ewentualność mądrej uchwały komitetu pomnikowego, który w połowie tego miesiąca ma nareszcie zdecydować, co zrobić z projektami uczczenia Mickiewicza i czy nie należałoby kilku zasłużonych w ciągłym namyśle głów pozłocić kosztem funduszu publicznego?

Oile słyszałem, komitet zamierza podobno wystąpić z propozycją, aby sprawę postawienia pomnika królowi naszych poetów w Krakowie, oddać jakiej poważnej instytucji np. Akademii Umiejętności, albo Wydziałowi Krajowemu.

Pan Marszałek Zybkiewicz,—to człowiek wielkiej energii: jak się rozgniewa a na kiel weźmie, tak w przeciągu roku postawi pomnik, a potem pozwoli pod nim klócić się wszystkim opponen-  
tom i obstrukcyonistom dzisiejszym; ja go znam: żartów nie lubi i kwestye rozcina jak brzytwą.

Ze wszystkiego widzę, że chyba ten jeden sposób absolutnego rozwiązania sprawy doprowadzi Mickiewicza do pomnika a pomnik do skutku, bo inaczej znowu minie lat dziesięć a na miejscu oznaczonym przed Sukiennicami będą zawsze jeszcze gołębie gruchały o naszej niezaradności.

Na początku bieżącego roku w pewnym kółku ludzi lubiących rozmyślać i dyskutować nad sprawami publicznymi, słyszałem o projekcie zużytkowania funduszu pomnikowego—zgadnijcie na co?... oto na założenie banku akcyjnego w celu wykupu zagrożonej ziemi w Poznańskim.

Każda jej piędź uratowana zpod zalewu germańskiego byłaby cegiełką w tym oryginalnym pomniku, jakim mamy uczcić pamięć największego poety polskiego.

Być może, iż na posiedzeniu komitetu, projekt ten ukaże się w postaci formalnego wniosku, ale czy uzyska approbatę—przesądzać nie śmiem.

„Dziennik Poznański“ zgromił prasę polską, że nieopatrznie traktuje sprawę wywłaszczenia i kolonizacji, że nie podaje rady na zło i grożące niebezpieczeństwo. Zarzuty niesłuszne; odpowiedziały też na nie cała prasa zaprzeczeniem. Co do rad i projektów, to powinny one wyjść od tych, którzy, na miejscu będąc, obeznani są lepiej ze stosunkami. Przypominam sobie zresztą swego czasu, polemikę z powodu krytyki poznańskich stosunków; było to przed kilku laty, gdy jeszcze nie groziły bismarkowskie ciągi.

Na uwagi czynione odpowiadano drażliwie: „Przyjdźcie tu i poproście sami robić inaczej, zdaleka łatwo sądzić i udawać Salomona.“

Teraz możnaby jeszcze łatwiej ściągnąć taki sam zarzut na siebie.

Powstały projekta założenia banku akcyjnego z celem wykupu ziemi polskiej i ratowania jej od zaboru niemieckiego; akcyje kosztować mają potysiąc marek; znajdzie się tedy sposobność odparcia, nie piórem, ale pieniądźmi i czynem, zarzutów przez *Dziennik* stawianych.

Najsromotniejszy cios zadało sobie samo obywatelstwo poznańskie temi wyrodnymi rękoma, które się pierwsze wyciągnęły po pruskie marki i wstyd wyznać, że pierwszy zły przykład dały kobiety, proponując rządowi berlińskiemu kupno ich własnej ziemi.

Na sprawę wywłaszczenia legalną drogą sami Poznańczycy zapatrują się bardzo pesymistycznie; trudno będzie uratować majątki obciążone, pozbawione kredytu i środków utrzymania konkurencji. Wiele już padło, więcej jeszcze jest zachwianych; właściciele ziemscy z mieczem Damoklesa nad karkiem w rozpaczliwym znajdują się położeniu.



Co do kolonizacji natomiast rząd sam nie wie, musi dowierzać swoim projektom, skoro podobno przygotowuje zmieniony plan rozparcelowania nabytej ziemi i osiedlania na niej, zamiast prostych chłopów, intelligencji. W tym celu chce potworzyć większe folwarki i odstępować je wysłużonym officerom, licząc na praktyczniejszy rezultat ich działalności i wpływów w sprawie ziemi w prowincji polskiej. Chłop kolonista albo się polonizuje sam, albo, odgraniczony, wegetuje w ciasnej sferze swojej zagrody; inteligentny dzierżawca będzie zawsze skuteczniejszym czynnikiem i agitatorzem polityki germanizacyjnej.

Przyszłość przeto chmurzy się i zaciemnia, nowymi gromami brzemienna, wydaje się groźną, jak Nemezis, przychodząca wiekowe grzechy wygładzać...

Nie wiem, dla czego mnie same smutne myśli opadły, gdy usiadł przed obrazem p. Zientarskiego, wystawionym w sali cechowej naszego ratusza i wpatrywał się w tę tajemniczą kweficzną postać, zlatującą „Z krainy gwiazd“ na nasz padół ziemski.

Nie zbierałem artystycznych stron obrazu, ale rozważałem umyślną czy przypadkową jego symbolikę, tak dziwnie licującą z bieżącą chwilą.

Na ciemnym tle nieba wykroił się ostry sierp nowiu, a z niego wśród migotliwych gwiazdek wywijają się dwie postacie, kobiety i dziecka, niby jakiegoś fatum z nocnej mgły i mroku stworzonego. Kobieta ściągając nad głowę czarny welon, podnosi ramię, jakgdyby jednocześnie zasłaniała sobie oczy, patrząc na tę głęboko toczącą się ziemię, na którą spaść ma nowa jakaś zmora, a dziecko figlarnym ruchem chwytając wyciągniętą rączką gwiazdkę najbliższą ziemi, aby ją zgasić lub strącić i o jedno światełko przyćmić niebo nad ludzkimi głowami.

Smutny to obraz, kiedy się z niego reflexywie czerpie; jest w nim jakaś aktualność bieżącej doby, gdy się zechce szukać w pomysłach czegoś więcej, niż fantastycznego tematu, w ciemnym kolorystyce cieniowania ultramariny, a w figurach—rysunku nagiego ciała.

Przy tem wszystkim, nie powiem, abym obraz p. Zientarskiego uważał pod względem artystycznym za dzieło godne osobnej wystawy i tego aparatu, który miał podnieść efekt utworu; nie mogłem się zachwycić ciałem tajemniczej bogini, które kolorytem przypomina bieliznę z farbki dopiero co wyjętą, a w twarzy ma popospolite rysy bardzo zwyczajnego modelu ziemskiego.

Nie powiem też, aby aniołek u jej stóp najszczęśliwiej był upozowany i pomimo gimnastycznego wygięcia głowy nie mogę mu wybaczyć, że nie schował lepiej czegoś innego, co z nią bardzo niefortunne stanowi *pendent*.

Pewne rodzinne podobieństwo z mamą dobrodziejką również nie wyszło na korzyść jego wdzięków; wprawdzie powiadają, że „w nocy wszystkie koty są szare“; ale nie zaszkodziłoby im, gdyby były ładne, zwłaszcza gdy je księżyc oświeca.

W urządzeniu wystawy, w jej dekoracyjnym przybraniu znalazłem więcej wdzięku i smaku, niż w samym obrazie, który mógłby być bardzo dobrze pomieszczyć się w naszym „Salonie“ przy Krakowskim-Przedmieściu.

Salon ten w ostatnich czasach nabral prawdziwie europejskiego wykwiutu, odnowił się, odświeżył, przyozdobił; człowiek mimowoli odślania głowę, wstąpiwszy na mozaikowaną posadzkę i rzuciwszy okiem na ściany koloru *sang du boeuf* obwieszzone dziełami sztuki, które teraz przebiera wybredniej ręką znawców z krytycznym stopniowaniem.

Komitet Towarzystwa do wielu zasług i do wodów energii, pomysłowości i gorliwości w opiekowaniu się sztuką, dodał teraz jeszcze jeden w urządzeniu i reformowaniu salonu wystawy; nadał mu wygląd poważnej galeryi, postarał się o wydobycie większego efektu z malowideł i rzeźb.

Codziennie prawie przybywa jakaś nowość z dziedziny sztuki i utrzymuje interes publiczności; podobno niebawem odbędzie swój wjazd tryumfalny do naszego Salonu sama „Joanna d'Arc“

Matejki, podziwiana obecnie przez Berlińczyków, którzy nie spalili, a nawet nie osmolili jej na stoście krytyki.

Powinnować muszę komitetowi pomysłu rozdawania w przyszłości premii na początku, nie na końcu każdego roku; to zachęca: obrazek będzie skuteczniej kuśił i wabił uczonych członków, niż sama obietnica, albo namowy gorliwych agitatorów.

W roku bieżącym nie udał się wybór premii z przyczyn niezależnych od komitetu; miała być nią kopia sympatycznego obrazu p. Pochwalskiego p. t. „Opowiadanie starego wiarusa.“

Możeby komitet odstąpił raz od utartego zwyczaju rozdawania chromolitografii lub sztychów, które konieczne wymagają oprawy w ramki i zawieszania na ścianie. We Lwowie podobno próbuje ją wydać teraz na premium album zbiorowe prac rozmaitych artystów; przykład wart naśladowania, choćby dla oryginalności i nowego pomysłu.

W jednej ze swoich wyborów i zajmujących zawsze Pogadankę p. Gomulicki w *Kuryerze Codziennym* ujął się bardzo słusznie za temi w toń zapomnienia wrzucanymi pracami artystów, które przez tydzień ozdabiają karty tygodników, a po roku giną w rocznikach składanych na najniższej półce domowych bibliotek.

Niekiedy dla zabawy grzecznych dzieci wyciąga się takie tomisko *Kłosa* lub *Tygodnika* i pozwala się malcom przeglądać ilustracje; przy tej sposobności i starsze oko padnie na ten lub ów rysunek Andriolego, Gierymskiego lub Witkiewicza i wtedy ze słowami: „Jakie to ładne!“ nachyla się ktoś z zajęciem nad zapomnianą księgą, która jest cmentarzem wielu dzieci prawdziwego talentu.

Otóż godziłoby się postarać o zbiorowe wydawnictwa rysunków naszych znakomitszych artystów, tak samo, jak od rozproszenia ratuje się utwory nowelistów, poetów i powieściopisarzy.

Jestem przekonany, że takie Albumy Siemiradzkiego, Andriolego, Gierymskiego, Gersona, Stachiewicza, Witkiewicza, Konopackiego, Kowalskiego, Pillatiego i innych naszych ilustratorów miałyby powodzenie, pod warunkiem, rozumie się, że cena nie byłaby zbyt wygórowaną.

Klische i drzeworyty gotowe i raz już użyte dałyby się wybornie zużyć po raz drugi.

Powodzenie „Budoaru“ p. Żmurki wydanego zagranicą daje zachętę, że wydawnictwa takie mogłyby liczyć na zbyt nawet u obcych.

Obecnie firma Gebethnera i Wolffa przygotowuje album Stachiewicza, złożone z sześciu kartonów reprodukowanych światłodrukowym sposobem z cyklu przepysznych ilustracji tego niepospolicie zdolnego artysty do znanej bajki Kraszewskiego p. t. „Dziad i baba.“

Dobrzeby było obok tekstu dołożyć i dowcipną muzykę Moniuszki; zyskałaby na tem całość i muzykalni jej nabywcy.

Czytając w *Gazecie Warszawskiej* rzewną jermiadę nad losem bibliotek prywatnych z powodu zmarnowania księżnicy pozostałej po Procie Lelewelu, bracie Joachima, zastanawiałem się nad tem, czy wogóle warto w naszych czasach zajmować się tą szlachetną manią zbierania książek. Długie lata gromadzisz, skupujesz, kompletujesz, cieszysz się każdym nabytkiem, ustawiasz w szafach, chronisz od myszy, kurzu, móli, a po twojej śmierci dzieci czy wnuki zsypią to do worków lub wrzucą do pak i sprzedadzą za bezcen antykwaryuszom, gdy się nie znajdzie amator, któryby chciał kupić wszystko za gotówkę.

Mniejsza o materyjalną stratę, ale moralna bywa większą.

Nie wiem, kogo w takich wypadkach bardziej obwiniać: czy spadkobierców, którzy za byle co marnują owoc długoletnich prac, starań, kosztów i trudu, czy ten ogół, co w danej chwili nie może się zdobyć na bogatego bibliomana, albo na ofiarność zbiorową, by od rozsypki uratować mozolnie składaną całość księżnicy.

Jednocześnie z biblioteką lelewelowską była do sprzedania kołyska, w której znakomity nasz historyk Joachim bujał się małym dziecięciem; naznaczono na nią cenę jakichś 100 rs. tylko, jako

na zabytek pamiątkowy, bo kołyska była jeszcze darem Stanisława Augusta.

Gdzieindziej sprzączki od trzewików, guziki i tabakerki znakomitych ludzi skupują na wagę złota, u nas całej żywej znakomitości nikt-by nie nabył; wypożyczają się ją na duże obiady, rauty i wieczory, ale po śmierci chłodnie ten zapal do wielkich nieboszczyków i wszystkiego, co z nimi miało bliższy związek.

W Paryżkim Muzeum Cluny widziałem kiedyś połowę dolnej szczęki Moliera, zachowaną z wielkim uszanowaniem pod szklanym kloszem, na aksamitnej poduszce; podobno za odszukanie drugiej połowy wyznaczano kiedyś osobną nagrodę.

Mój Boże, u nas zęby znakomitych autorów o tyle bywają szanowane, o ile gryzą, i to dobrze, bo inaczej nikt na nie uważać nie będzie.

Tę kołyskę Lelewela mógłby jednak kupić jaki mecenas do jakiego muzeum zabytków naszych; kołysałaby się w niej obok wspomnień o wielkim historyku pamięć nabywcy, co umiał uratować ją od zniszczenia.

Jesień rozesnuwa już nici babiego lata i lampa słoneczna coraz wcześniej przygasa; wieczory i ranki zaczynają być chłodne; kupimy się przy sztucznych lampach i światłach; powoli otwierają się salony i życie towarzyskie nanowo przyspieszonym tętnem bić zaczyna. Teatra zapełniają się stałą publicznością, która znalazła jeden powód więcej do odwiedzania przybytku sztuki; odnowiono bowiem cały gmach teatralny wewnątrz i zewnątrz, pomalowano kurrytarze, foyer, oczyszczono, odzłożono, wylakierowano salę Teatru Wielkiego, która podobną już była zanadto do starej, opuszczonej rudery.

Jasny, pogodny wygląd ma teraz jej wnętrze, ale panie dbające o efekt swoich wdzięków nie będą zadowolone z jasnego ła łóż, które daje reflex blady i sprawia, że piękna cera wydaje się mdłą i martwą.

Bądźcobądź dyrekcya położyła zasługę nową około teatru pod względem zewnętrznym; pan senator Gudowski w ciężkich chwilach obu scen naszych okazał w ciągu swojego prezesowstwa wiele energii w administracji i uregulowaniu interesów instytucji; Rozmaitość podniósł z gruzów, deficyt wyrównał, długi udało mu się strącić z budżetu. Pod względem artystycznym zapowiadają się również zmiany na lepsze; jeżeli swobodniejsze teraz ręce po usunięciu finansowych przeszkód zechcą również energicznie uchwycić ster sztuki i sceny.

Śmierć Królikowskiego wielki wyłom zrobiła w personelu dramatu; z takim talentem, taką pracą, zamiłowaniem i poszanowaniem dla swego zawodu nie rychło znajdzie się następca nieboszczyka.

W pięknej mowie p. Kotarbińskiego, poruszona myśl postawienia wielkiemu artyście pomnika na grobie, odbiła się od razu wdzięcznym echem w sercach publiczności; składki już napływają i przy pewnym poparciu funduszu dochodem z widowiska lub koncertu zbierze się rychło potrzebna summa na uczczenie grobowym kamieniem pamięci znakomitego tragika i zacnego człowieka.

Quis.

## GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

I.

Pracownia Filipa Morelli mieściła się w dawnym refektarzu pokarmelickiego klasztoru; grube sklezione mury, wysokie okna, kamienne odrzwia tu i owdzie zpod odpadającego tynku



wyzierające; ślady dawnych fresków lub oderwane głoski łacińskich napisów—nadawały jej charakter średniowiecznej rudery.

Byłoby to jakimś lamusem, albo stałoby najpewniej wilgotną, zatechłą pustką, zamieszkaną chyba przez pająki, szczury i nietoperze, gdyby fantazyja młodego rzeźbiarza nie wybrała tego miejsca na pracownię.

Dla artysty ta ruina miała swój właściwy urok, a oprócz tego niektóre praktyczne dogodności: niby wśród ludzi a na ustroniu, bo od ulicy odgraniczał ją wysoki mur, w którym mała wązka furtka z żelaznym krzyżykiem u góry, dawała jedyne wejście obok bramy.

Przestronno tu było, światła dużo, jakkolwiek w wysokich oknach nie wszystkie szybki się zachowały i bez ceremonii jakaś ręka zastąpiła je papierem lub deszczułkami; te zaś, które się utrzymały, pokrywała warstwa kurzu, splukiwanego chyba strugami ulewnego deszczu od czasu do czasu.

W słoneczne dni, to światło było jedyną ozdobą rzeźbiarskiej pracowni Filipa, ale z wielką niedyskrecją wydobywała na jaw całą tę poplamioną, odrapaną, obdartą fizioznomią wewnętrzną i zewnętrzną dawnego refektarza.

Stare, ciężko okute drzwi na zardzewiałych wrzędach otwierały się ciężko, skrzypiąc przeraźliwie i zacinając po zamknięciu na zamek staroświecki i dużą klamkę w kształcie lwiej łapy z pazurami.

W noc księżycowe natomiast pracownia Filipa zmieniała się do niepoznania; srebrne światło niebieskiej lampy magiczny wpływ wywierało na jej wnętrzu, odnawiało ją, obwieszało ją jakimś wzorzystymi makatami po ścianach, o fantastycznym rysunku, posadzkę wykładało mozaiką z cienia i blasków, jakie rzucały duże okna, sięgające pod same sklepienia; z mroków występowały wówczas, jakby na zaklęcie, białe postacie posągów, studyów, szkiców rozstawionych w nieładzie a księżyc, jak drugi Pigmalion, ożywił je ułudnemi pozorami.

Dla artysty, poety, marzyciela ze wschodem księżycy rozpoczynało się w tej pracowni jakieś czarodziejskie widowisko; wrażliwszy umysł siłą wyobraźni mógł doszukiwać do tych realnych motywów całą najdziwniejszą bajkę; nie darmo opowiadano sobie w sąsiedztwie byłego klasztoru, że w starym refektarzu po nocach straszy i utrzymywano, że żaden rozsądny człowiek nie naraziłby swojej głowy, a może i życia, zamieszkując ruinę, w której pokutują duchy dawno zmarłych zakonników.

Od czasu wszelako, gdy Filip Morelli urządził sobie tu pracownię rzeźbiarską po przyjeździe z Rzymu i Florencji, gdzie lat kilka bawił dla studyów, wiara w strachy doznała sromotnego ciosu; młodemu artyście ani jeden kędzierzawy włos z czarnej głowy nie spadł, a oprócz własnego cienia, snującego się często wieczorami wśród rozpoczętych w glinie postaci, nie spotkał dotąd ani jednego ducha, chociaż z całą gościnnością gospodarza byłby mu najchętniej ciężkie drzwi wiodące na ciemny kurrytarz własną ręką otworzył.

Ale pomarli ojcowie nie śpieszyli się już więcej do refektarza, w którym oprócz gipsu i gliny nie byłoby znaleźli dziś ani okruszyny pożywienia dla siebie.

Zresztą Filip od czasu ożenienia się swego rzadko tu wieczorami przebywał; nęciła go więcej młoda żona i ciepłe, wygodne, miłutkie gniazdko, jakie sobie urządził nieopodal pracowni w nowym domu swojej świerki, pani Ludwika Okulskiej, wdowy po s. p. Hieronimie, który zostawił jej na pocieszenie po sobie trzy córki, urodne, jak gracye, i kamienicę pakowną, jak koszary.

Córki miały opinią najpiękniejszych panien w całym mieście; co do kamienicy zachodziły pewne wątpliwości, czy w istocie jest równie piękną hipoteką, za jaką ją przedstawiano, tem bardziej, iż nieboszczyk Hieronim nabył ją dosyć obciążoną długami, a pani Hieronimowa od śmierci męża powiększała ciężary dość nieopatrnie.

Kiedy przed dwoma laty Filip Morelli powrócił z Włoch, poprzedzony sławą wielce obiecującego artysty, panny Okulskie w świat właśnie

wchodziły; o nich mówiono, że są piękne „jak malowanie“, o nim, że będzie kiedyś polskim Michałem Aniołem i ubolewano tylko nad tem, iż taki artysta przez zrządzenia złośliwego losu będzie nosił włoskie nazwisko pomimo polskiego pochodzenia.

Przypadek bowiem zrządził, że dziadek, czy pradziadek Filipa, był rzeczywiście synem gorącej Italii, ale ojciec jego, już w Polsce urodzony, nawet powłóskudło dobrze mówić się nie nauczył i idąc za przykładem własnego rodzica, zaślubił Polkę, a dzieci popolsku wyłącznie wychowywał.

Młodemu Filipowi z pewnym szowinizmem doradzano, aby tak samo spolszczył nazwisko, jak dziad jego spolszczył narodowość.

— Coby ci szkodziło, abys się przewał Morelskim, albo Morelowskim?—mówiono do niego—dla dobra sztuki naszej powinienes to uczynić.

Ale Filip wrzasał ramionami i uśmiechał się pobłażliwie.

— Moi drodzy—odpowiadał swoim doradzcom—dla czego mam się wyrzekać mojego pochodzenia, skoro jeśli nie nazwisko, to twarz moja świadczyć będzie zawsze, że przodków nie nad Wisłą, ale gdzieś nad Tybrem miałem; a zresztą, bądźcie spokojni, jako Filip Morelli, nie będę wcale gorszym Polakiem od Morelskiego; kiedy zaś zdołam utworzyć coś na prawdę pięknego, coby sztuce naszej zaszczyt przynieść mogło, postaram się sam o to, aby nikt mojego dzieła przywłaszczyć sobie nie mógł.

I miał słuszność; rysy jego nosiły tyle cech południowego typu, poczawszy od czarnych, jak heban włosów, cery oliwkowej, oczu ciemnych, palących się wulkanicznym jakimś ogniem, że na pierwsze wejście każdy poznawał w nim Włocha a niemal niespodzianką wydawała się w jego ustach ta najczystsza polszczyzna, jaką przemawiał zawsze, unikając z umysłu obcego języka.

Twarz Filipa nie była piękną, nie miała wcale klasycznych rysów; przeciwnie, wiele brakowało jej do regularności linii.

Miewał chwile, w których był bardzo brzydkim, ale jeden błysk oka, jeden uśmiech naprawiał wrażenie i pociągał jakimś dziwnym urokiem.

Kiedy go panna Helena Okulska, najstarsza z trzech rozkwitających gracyi, po raz pierwszy zobaczyła w salonie ks. Jadwigi, patronki szpitala dziecięcego, podczas ważnej narady nad urządzeniem żywych obrazów, skrzywiła się z niechęcią.

— Monstrum! — szepnęła do ucha siostrze i matce—a co za powierzchowność!... ktoby powiedział, że to wielki artysta?

— Wygląda, jakby gipsowe figurki po ulicach roznosił—dorzuciła średnia córka pani Okulskiej, chorująca na złośliwość.

— Nawet krawata nie ma porządnie zawiązanego—zauważyła najmłodsza Irena, z pogardliwym wyłączeniem ślicznych usteczek.

A jednak to monstrum w pół roku później zostało mężem panny Heleny a szwagrem jej siostr, jakkolwiek obie nigdy zrozumieć nie potrafiły, „co się Helence w takim brzydaluku podobać mogło.“

Bywają takie niespodzianki, najmniej prawdopodobne w życiu ludzkim i takie małżeństwa, które jakiś psoty duch z rodzaju złośliwych demonów kojarzy.

Ks. Jadwiga, dbała o powodzenie swoich filantropijnych celów, nie omieszkwała wyzyskać chwili, której nowo-przybyły artysta był bohaterem.

Skoro tylko na wystawie sztuk pięknych pojawiły się pierwsze prace Filipa i krytyka rozgłosiła jego nazwisko, a cała publiczność zajęta była jedynie dwoma biustami, przedstawiającymi „Ból“ i „Rozpacz“, że znakomitą, expressyą tych dwóch uczuć wykonane w kamieniu, już dzienniki podały wiadomość wielce interesującą, że „młody nasz rzeźbiarz p. Filip Morelli, przybyły niedawno z Włoch, podjął się na prośbę ks. Jadwigi, zacnej opiekunki szpitala dla dzieci, urządzenia cyklu bardzo efektownych obrazów na scenie miejscowego teatru, w których przyjmą udział najpiękniejsze damy naszego towarzystwa: hrabianka R..., baronowa S..., panna O... i t. d.“

Reklama poskutkowała; trzy pełne przedstawienia pod protektoratem księżny, przysporzyły sporo grosza filantropijnej instytucji i spopularyzowały odrazu nazwisko młodego artysty, który oryginalnym wyborem tematów, pełnym smaku ugrupowaniem, nowymi efektami oświetlenia złożył dowody niepospolitego talentu i pomyślności.

Szczególniej zainteresowały wszystkich i zachwyciły żywe posągi na czarnem tle, w których pozowały trzy siostry Okulskie; całe miasto mówiono o nich, rozchwytywano ich fotografie, unoszono się nad temi wdziękami, co zaćmiły wszystkie piękności oddawna patentowane w salonach wyższego towarzystwa.

Panny Helena, Klara i Irena stały się bohaterkami dnia a mama Okulska czuła się najszczęśliwszą i najdumniejszą z matek.

Zdarzało się bowiem nie raz, że nieba ubłogosławiły kogoś jedną córką „jak malowanie“, ale żeby aż trzy zesłała komus „Opatrzność w swojej dobroci tak hojna, — to już chyba dowód szególniejszej łaskawości, na którą pani Ludwika jakimś wyjątkowymi cnotami zasłużyć musiała.

Wśród całego tłumu wielbicieli był wszelako ktoś, co bardziej od wszystkich pozostawał pod urokiem tego wyjątkowego piękna i najlepiej je ocenić umiał, najsilniej je odczuwał, najgłębiej się niem przejmował.

Było coś w tem zachwycie miłości własnej mistrza, patrzącego na swoje dzieło okiem znawcy i artysty zarazem.

Filip od czasu pierwszej próby na scenie chodził, jak opętany urokiem wdzięków wszystkich trzech panien Okulskich, ale pierwszeństwo w duszy przyznawał Helenie; ten żywy posąg czarował go, odciskał się w duszy, skamieniał w jego wyobraźni, prowadził go odtąd, jak tajemniczy obłok przed oczyma Mojżesza i zasłaniał resztę całego świata.

Zapaliła się w nim namiętna żądza posiadania takiego arcydzieła natury, którem estetyczna jego dusza zachwycała się tem bardziej, im dłużej się w nie wpatrywał.

Panna Helena zaś widząc czarne, ogniste oczy młodego rzeźbiarza wpatrzone w nią z wyrazem uwielbienia, a patrzące tak wymownie, jak jakos dziwnie, inaczej od wszystkich, jakie dotąd na nią spoglądały, czuła się w swej kobiecej próżności nadzwyczaj zadowoloną.

Pochlebiał jej ów hołd składany przez mężczyznę, który miał prawo wyrokować o pięknie ze stanowiska artysty, a w niej uznawał i wyróżniał coś z dzieła sztuki.

Jemu też zawdzięczała, że wdziękowi jej pozwolił zabłysnąć w całej pełni, że nadał im efektowne tło i ramy, że je niejako rozświetlił, jakby na prawdę nie była żywą istotą, ale jakimś wspólnym posągiem utworzonym w pracowni genialnego artysty.

Uczucie to zatarło pierwsze niekorzystne wrażenie, jakie na niej Filip wywarł początkowo.

Nie zdawała sobie z tego wyraźnej sprawy, że marzeniem jej w życiu było jedynie: być podziwaną, nie kochaną; wystarczyło jej zapalać oczy, nie serca, upajać ją hołd uwielbienia, chociaż udawała, że o niego nie stoi, że go nie widzi i z tą obojętnością słońca świeciła blaskiem swych wdzięków; ale w tem słońcu była ukryta ambicyja bardzo głęboka i drażliwa, ambicyja próżności kobiecej.

Tej próżności też przypisać należało, że się panna Helena zajęła Filipem o tyle, o ile on się nią zachwycał i że bez zastanowienia, w pierwszej chwili zgodziła się zostać jego żoną, gdy się oświadczył.

Pochlebiali jej to, iż artysta, którego nazwisko po wszystkich ustach przebiegało, o którym pisały dzienniki, o którym rozmawiano w salonach, ją na samym wstępie wybrał sobie i upodobał; a chociaż siostry utrzymywały, że rzeźbiarz to żadna partya, że pod względem materialnym lepszyby był jakikolwiek urzędnik, postanowiła oddać mu swą rękę.

— Będę żoną sławnego człowieka — mówiła sobie — cały świat znać mnie będzie przez niego, będę nosiła głośne nazwisko: a to więcej warte, niż krocie.



Mama Okulska, przywyczojona wypełniać tylko życzenia swych córek, przyjęła do wiadomości postanowione małżeństwo panny Heleny z Filipem i dla formy dała swe błogosławieństwo; zasadą jej było nie sprzeciwiać się kochanym dzieciom i pozostawiać im wszelką swobodę decydowania o własnym szczęściu.

— Mamo — powiedziała jej pewnego wieczoru Helena, gdy wrócili z przechadzki — Morelli mi się oświadczył dzisiaj i przyjął go; jutro zapewne sam mamie to powtórzy.

— Dobrze, moja droga — odpowiedziała matka — ty wiesz, że wam pozwalam robić, co chcecie. Czy mam udać, żeś mi o tem nie wspominała?

— Nie potrzeba, przyrzekłam mu, że mamę o tem uprzędę; mama wie, że mój przyszły mąż nie należy do zbyt wymownych i śmiałych na tym punkcie. Należy mu ułatwić sytuację, zamiast ją utrudniać.

— Już ja to zrobię, bądź spokojną.

Nie zapytała nawet, czy córka kocha swego narzeczonego, bo w tej chwili myśl jej więcej zajęta już była przyszłą wyprawą, aniżeli takimi drobiazgami, jak miłość.

Ona sama nigdy nie kochała nieboszczyka Hieronima, a za jego trumną szła bez jednej łzy w oku, ale w ciężkiej żałobie, zakwefiona gęstym woalem i przez rok i sześć niedziel nie zdejmowała czarnej sukni z szeroką pleureuse'ą, jak na strapioną wdowę przystało: potem dała na mszę żałobną, podczas której razem z córkami kłęczała najprzykładniej przy katafalku obstawionym suto kwiatami i świecami, co wszelako nie przeszkadzało jej pójść wieczorem na koncert Rubinsteina; tłumaczyła się tem, że panienci jej nie miały nigdy sposobności słyszeć tak wielkiego pianisty, a niewiadomo, czy go jeszcze kiedy usłyszą.

W sercu i w życiu tej kobiety wszystko wygodnie obok siebie pomieścić się mogło: egzekwiarano za duszę męża a koncert wieczorem.

Jedno drugiemu nie przeszkadzało wcale.

Pierwszy rok małżeństwa Heleny z Filipem upłynął bardzo szybko; młodzi małżonkowie używali miodowych miesięcy przez całe cztery kwartały, długi czas bawili zagranicą, po powrocie urządzali nanowo swoje mieszkanie, które im się wydało nie dosyć wygodnym, zwłaszcza w przewidywaniu pierwszej pociechy; z konieczności żyli w odosobnieniu, nie bywali u nikogo i mało kogo przyjmowali u siebie.

Filip rozpoczął kilka ważniejszych robót, przyjął kilka obstalunków i zabierał się do wykonania wielkiej kompozycji, w której miał cały swój talent odsonić. Chciał stworzyć coś wielkiego, coś genialnego, coby mu odrazu prawdziwą sławę i stanowisko wyrobiło.

Całymi wieczorami przesiadywał w domu i rozwijał przed żoną swoje plany, zapalając się własnym pomysłem.

— Zobaczysz, zobaczysz — mówił do niej, ścisnąc jej drobne, białe, jak z alabastru rączki — co to będzie!...

Pani Helena w ślicznym czepeczku koronkowym, w niebieskim szlafrocisku wolno puszczone, w miękkich pantofelkach atlasowych leżała na szeszlangu i robiła włóczkowe powijaczki słuchając męża spokojnie, prawie obojętnie, z większym zajęciem rachując oczka na drucie, niż zważając na jego głośne monologi. Śliczne jej szafirowe oczy przymykały się od czasu do czasu, rączka poprawiała pukle płowych włosów, wymykających się bujnemi splotami spod czepeczka na białą szyję i ziewając ukradkiem, przerywała mu nagle zapytaniem:

— Którego to mamy dzisiaj?

— Dwudziestego piątego Września.

— Ach, to jeszcze ze cztery tygodnie! — wzdychała piękna kobieta, odpowiadając swym własnym myślom, a na klasycznych jej usteczkach osiadał jakiś grymas zniecierpliwienia.

Filip zapominał wtedy o wszystkim, przerywał swą natchnioną tyradę, artysta ustępował miejsca szczęśliwemu mężowi i przyszłemu ojcu, klękał u nóg swojej żony, i okrywając pocałunkami jej kolana, mówił z rozpromienioną twarzą a z jakimś dziwnym rozrzewnieniem w głosie:

— O przebac, przebac mi, Leneczku — ja ci tu główkę zawracam mojem dziełem, a ty o swem myślisz w tej chwili. Lepsza z ciebie matka, niż ojciec ze mnie. Przysięgam ci, że dopóki naszego aniołka nie złożę do kołyski, dopóty nie wspomnę nawet o mojej grupie. Nawet do pracowni przestane chodzić, jeżeli zechcesz.

— O nie — przerywała mu żona głosem skapryszonego dziecka — cóżbyś tu cały dzień przy mnie robił?...

Pracownia Filipa wszelako stała odtąd pustkami; zaczęte szkice w glinie pozysychały się; zgrubsza zaledwie obrobiony blok marmuru przysypany kurzem walał się, zatoczony w jeden z czterech kątów refektarza, zielone firanki zasłaniały od kilku tygodni pozamykane szczelnie okna, a na biustach, studyach i medalionach osiadł kurz, niezmiatany od niepamiętnych czasów.

Jedynym gościem w pracowni bywał tu wieczorami Wacław Szalej, przyjaciel z lat dzieciństwa Filipa, postać oryginalna, dziwaczna, odróżniająca przy pierwszym wejrzeniu, ale zajmująca przy bliższym poznaniu.

Mężczyzna około lat trzydziestu kilku z głową krótko strzyżoną, z twarzą zwykle wygoloną, ale zarastającą szybko, z oczyma w głębokich dołkach zchowanymi prawie zupełnie pod brwią dziwnie ruchliwą i krzaczystą, wzrostu średniego, ale o kształtach pociętych, skoszlawionych, wypaczonych przez naturę i zaniedbanie swobodniejszych ruchów.

Szalej robił wrażenie garbusa, chociaż garbatym nie był, kulawego chociaż nogi miał proste, kaleki bez rąk, choć władał niemi dobrze, ale nie uważał za stosowne robić z nich jakiegokolwiek użytku; zdawało się, że umyślnie podnosi tak ramiona, aby być podobniejszym do nietoporza, że z umysłu zmruża tak oczy, by przypominać lepiej kreta, a rąk dlatego z kieszeni starych, wypłowiałych oddawna i połatanych spodni nie wyjmuję, aby z większym złudzeniem udawać paralietyka, który zaledwie nogami powłóczy i przy każdym kroku zgina kolana, jakby miał upaść bezwładnie pod ciężarem gniotącym mu zgarbione plecy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## PO SKOŃCZONYM SEZONIE.

Kilka słów o Krynicy.

W roku bieżącym Krynica przeżyła jeden z najświetniejszych kąpielowych sezonów. Od lat 86 t. j., od chwili, gdy przekonano się o leczniczych jej wód własnościach, aż dotąd, nigdy tyle, co w obecnym roku, nie liczyła gości, których liczba po dzień ostatni do czterech tysięcy kilku set osób dobiegła.

Rok 1883 uważano już za najświetniejszy, a przecież wówczas tylko 3,195 osób nawiedziło Krynicy.

Obecny sezon zaszczepił się w kronice zakładu niebywałym napływem rodzin tak zwanych arystokratycznych, które, nie chcąc polskimi pieniędzmi bogaciej zdrojowisk zagranicznych, widocznie Krynicy za punkt zborny na czas letni wybrały. Jakoż na liście kąpielowej spotykaliśmy się z nazwiskami ks. Czartoryskich, Radziwiłłów, Sapiechów, hr. Lanckorońskich, Stadnickich, Tarńskich, Potulickich, Przeździeckich, Fredrów, Szembeków, Badenich, Górskich. Również literatura, publicystyka i nauka znalazły tu licznych przedstawicieli. Dość wymienić p. Marrenową, Wł. Łozińskiego, Jana Max. Fredrę, Juliana Klaczkę, dr. Sawczyńskiego, dziekana Kasznicę, dr. Łuczkiwicza, że przemilczymy o innych. Ten niezwykły napływ gości, dający się łatwo wytłómaczyć banicyjno-bismarkowskiemi środkami, w wysokim stopniu wpłynął na podrożenie lokalów. Rzecz naturalna, że gdy wiele

z arystokratycznych rodzin zajmowało od 8—10 pokoi, dla zwykłych śmiertelników, zwłaszcza później przybyłych, trudno było znaleźć choćby jeden zapewniający jakietakie wygody. Często i bez wygód należało go opłacać literalnie za cenę równającą się złotej walucie. Do trudności wyszukiwania lokalu, zwłaszcza na razie, przyczyniła się ta okoliczność, iż większa część osób przybywa do Krynicy pociągiem wieczornym, stającym około 7 w Muszynie. Ponieważ Krynicy od tej stacji przestrzeń 11 kilometrów oddziela, przeto na miejsce zaledwie się około 9-ej przybywa, co nawiedzających poraz pierwszy miejscowość, zatem nieobeznanych z lokalnymi warunkami, na wiele przykrości naraża. Rzadko bowiem, by przy liczniejszym napływie gości znalazł się wtedy numer, w którymby z trzech hoteli istniejących w Krynicy; najczęściej są one stale lub czasowo zajęte. Zresztą, jako w miejscowości górskiej, mrok dość wczesnie zapada; choć więc przed domami wywieszono tablice zapowiadające lokale ho wynajęcia, to przecież trudno ich dostrzedz jadącym w ciemnościach. O tem zaś, że co do mieszkań można zasięgnąć wiadomości u portyera mającego pomieszczenie przy głównym ognisku kąpielowego życia „Pod barankiem”, mało komu wiadomo. Otwiera się więc niejednemu z przybyłych bardzo miła perspektywa przepędzenia nocy *sub Jove*. Jakoż nieraz można było spotykać na środku wyludnionej ulicy siedzące w powozie damy, rzewnymi zalewające się łzami, które, nie mogąc znaleźć pomieszczenia w hotelach, naprawdę nie wiedziały, co z sobą zrobić.

Łatwo pojąć, jak szerokie pole taki stan rzeczy otwierał do zdzierstw i wszelkiego rodzaju nadużyć, zwłaszcza ze strony właścicieli domów, wyznających zasadę: „drzeć łyka, póki się dadzą.” To, że kuchnia i drwaliki (sic!) wyklejone papierem, oddawano na mieszkania, narzucając na nie stosunkowo ceny bajeczne, jeszcze-by się dało wytłómaczyć niebywałym na lokale popytem; ale znaleźli się i tacy, którzy dla pozyskania nowo przybyłych, najnieuczciwiej wychodzili z lokatorami dawnymi, urządzając im różnego rodzaju niespodzianki, przynoszące istotnie zaszczyt pomysłowym ich głowom, ale dające wcale niepoehlebne o ich uczciwości świadectwo. Szczególniej jeden z nich, mający przeważnie do czynienia z damami, wpadał na oryginalne pomysły. Gdy mu się nadarzył lokator, ofiarujący wyższą cenę za lokal już zajęty, przez kogoś, komu sezon, przypuścmy, za 2 tygodnie się kończył, wtedy bez ceremonii dawnego lokatora do innego, mniej wygodnego lokalu wyrzucał a nowego przybywsza wprowadzał. Innym razem jeszcze oryginalniej sobie postąpił. Gdy jedna z lokatorek ofiarowała znajomej pomieszczenie u siebie, dopóki-by nie znalazła odpowiedniego lokalu, on dotyla okazał się naiwnym, iż od goszczącej, za czas przybytu komornego zażądał, oez względu na to, że już za lokal miał uiszczoną zapłatę.

Jeżeli jednak tak liczny napływ kąpielowych gości w roku bieżącym nie był wynikiem chwilowego porywu, wywołanego środkami banicyjnymi w Prusiech, ale wpływem przekonania, że i w zdrojowiskach krajowych, można odnaleźć zdrowie, któregośmy dotąd zagranicą szukali, i napływ ten wzrastać będzie w odpowiednim w latach następnych stosunku, to, zaprawdę, Krynicy można najświetniejszą przyszłość rokować. Szczególniej przybywającego do niej po kilkonastoletniej nieobecności, postęp ku lepszemu na każdym kroku uderza. Takie wille, jak Witoldówka, Pod ularnem, Białym orłem, Wisłą, Koroną węgierską, Alfredówka, Flora i Hotel Warszawski, nadają istotnie Krynicy wygląd europejskiego zdrojowiska, że już nie wspomniemy o całym szeregu willi w krótkim czasie powstałych „na Górcie”, jak Pod Wawelem, Złotą bramą, Szczerbocem i innych. Co zaś przedewszystkiem przychyli się do jej ozdoby, to budujący się obecnie *Dom zdrojowy*, według konkursowego planu inżynierów Niedzielskiego i Zawiejskiego, a którego wykonanie powierzono budowniczemu Romualdowi Stachurskiemu. Dom ten, na którego budowę rząd c. k. 150,000 guldenów przeznaczył,



zajmuje miejsce między budynkiem noszącym nazwę: „Pod barankiem”, a starym bazarem, zatem nawprost parku i *rosarium*, gdzie obecnie stanęła bardzo gustowna z lanego żelaza altana dla kąpielowej orkiestry. Obecnie dźwignięto już mury do wysokości drugiego piętra, które przed zimą mają stanąć pod dachem; w roku zaś przyszłym nastąpi wykończenie całej budowy tak, by z otwarciem sezonu w r. 1888, mogła być do użytku publicznego oddana.

Wspaniałą fronton w stylu renesansowym składa się z *ryzalitu* występującego czworobokiem nazewnątrz w samym środku budowy, oraz z dwóch podobnie z boków występujących pawilonów. Ściany pomiędzy pawilonami a ryzalitem, cofnięte w głąb, zdobi na parterze z obu stron kolumnada, w której staną olbrzymie okna łukowato sklepione, podczas, gdy górne, formy prostokątnej, mają mieć szczyty nad gzem sami trójkątne. Zresztą ornamentacja zewnętrznej strony gmachu, użyta w miarę, odznacza się wytwornym smakiem i pełnym fantazyi rysunkiem. W gmachu tym, oprócz biura zarządu zdrojowego, kassy prowentowej i poczty, znajdzie pomieszczenie: wspaniała sala balowa, dwupiętrowej wysokości, sala bilardowa, czytelnia, restauracja i cukiernia.

Ukończenie jednak tej budowy i oddanie jej do publicznego użytku, stanie się hasłem zburzenia starego domu „Pod barankiem”, w którym się przez lat tyle koncentrowało się towarzyskie życie Krynicy. Czy kto pożałuje staruszka? Nie wiemy, ale wyznaję, iż widok tej rudery, nie odwołalnie na zagładę skazanej, budził we mnie zawsze jakby uczucie litości. Iluż to bowiem pokoleniom wysłuchał się ten poczciwy *Baranek!* W ilu-to młodych, adziś przekwitłych sercach zapisał się na całe życie wspomnieniami chwil tu przeżytych! Ściany jego, świadki tryumfów balowych i sercowych zdobyczy, a częściej gorzkiego rozczarowań i zawodów, mogłyby niejedną tajemnicę wyszeptać. Nic jednak nie powiedzą, a wkrótce zaginie i ślad całej budowy. Na jej miejscu, jak równie na placu, mającym powstać po zburzeniu bazaru, ma być założony skwer, któryby odpowiadał *rosarium*. Będzie tu więc pięknie, a młodym, niedokrwiąstym pokoleniom równie wesoło, jak dawniej!

Do współdziałania z uznawaną coraz więcej skutecznością zdrojowisk i kąpeli krynickich, przybył jeszcze świeżo powstały c. k. zakład wodolecznicy, zostający pod kierunkiem Dr. Ebersa, a urządzony według najnowszych wymagań hydroterapii. Położony w części parku zwanej *Janówka*, liczy on dopiero drugi rok swego istnienia, a choć dotąd nie zdobył sobie jeszcze szerokiego rozgłosu (u nas, mimo ponawianych ogłoszeń, mało kto wie o jego istnieniu); to przecież biorąc miarę ze zwiększającego się napływu pacjentów, już dziś można powiedzieć, że ma zapewnioną świetną przyszłość przed sobą. Żaden bowiem z podobnych zakładów nie znajduje się w równie, jak on, szczęśliwych warunkach. Pomijając już tę okoliczność, iż Zarząd dóbr państwa i Zarząd zdrojowy, uznawszy jego ważność, nie szczędzą nakładów, by go przez rozwój należyty na stopie pierwszorzędnej postawić (dotąd na jego urządzenie wydano 18,600 guldenów)—to wyjątkowe położenie, obok górskiego powietrza, które już samo przez się najdzielniejszy leczniczy środek stanowi, nadaje mu jeszcze sąsiedztwo mineralnych źródeł, Krynicy i Słotwiny, których własności tak dzielnie kuraczą hydropatyczną wspierają.

(Dokończenie nastąpi)

## Kilka wspomnień z Wiednia i z jego okolic.

(Dokończenie).

A czego też tu niema, w tym błyskotliwym, pełnym gwaru, muzyki i śmiechów ro-

jowisku, na tym jarmarku, zastawionym setkami pawilonów, namiotów i straganów, z kądem co święto bije od zmroku płomienna luna gazowych świateł, zdaleka widzialna ponad drzewami Prateru! Zabawy i dziwowiska wszelkiego rodzaju: wystawy karłów i olbrzymów, gimnastyki, menażerye przed którymi wygłaszają zapraszające przemowy okazy niemieckiego „humbugu”, ciekawsze zapewne do oglądania od stworzeń mieszczących się w ich budach, taneczne sale, tombole, strzelnice i karuzele, stojące dla każdego otworem bezpłatnie, dopóki chce na widoku zabaw poprzestawać,—wszystko to naraz oczom się przedstawia, wraz z niezliczoną ilością zakładów gastronomicznych, gdzie każdy może znaleźć taki posiłek, na jaki stać jego kieszeń.

Dopóżna trwa w tej części Prateru wesołe ożywienie i roją się tam tłumy, które wreszcie rozplývają się stopniowo w różne części miasta. Uboższe pieszo rodziny zdążają do domu, odnosząc na rękach rozespiane dzieci i puste koszyki; zasobniejsi w grosz szturmują zdobywają miejsca w tramwajach—i wszystko wraca do tygodniowej pracy, którą jutro rozweselą wspomnienia świątecznej zabawy.

Czemu-to chociaż części tych rozrywek odkraść ztąd nie można dla naszego miejskiego ludu, któremu dotąd brak nawet miejsca, gdzieby mógł zabawić się i posilić na świeżem powietrzu, nie zaś w dusznej garkuchni lub bawaryi?—powiadaliśmy sobie nieraz w Ludowym Praterze. Toż nawet w obrębie miasta mamy jeszcze znaczne przestrzenie ziemi odłogiem leżące, śmieciami pozarzucające dla czegoż-by ich nie zamieniać potrosze w ogrody, nie urządzać tam miejsca zabawy zdrowej i przyzwoitej dla tych biedaków, którzy, chcąc w święta czystszym odetchnąć powietrzem, jeden tylko park praski mają i Omentarz Powązkowski, zawsze wtedy tłumnie nawiedzany? Rzecz dziwna, iż dotąd nie nęci nikogo podobne przedsięwzięcie, skoro w nim zyski zdawałyby się być zapewnione; nie chcemy przypuszczać, iż powodem jest tego owa niezaraźliwość, tyle nam razy we wszystkich zarzucana.

Zamiłowanie tutejszej ludności do świeżego powietrza i dbałość o nie, głównie dla dzieci, wychowywanych pod tym względem bardzo higienicznie, wytworzyła w około Wiednia wielką mnogość letnich mieszkań, coraz liczniejszych i bardziej upiększanych w miejscach nadających się najlepiej ku temu. Ponieważ zaś takich nie braknie w pobliżu miasta i w dalszych jego okolicach, mogą więc tysiące rodzin, wynoszące się corocznie z niego z początkiem lata, znaleźć zawsze dla siebie pomieszczenie, do wszelkich stopni zamowności zastosowane, a w każdym razie miłe i wygodne. Piękna willa o werendach otoczonych rzadkimi kwiatami, nie lepsze ma powietrze od skromnego domku z maleńkim ogródkiem, gdzie zaledwie jest miejsce na stolik i na ławeczkę, bo wszędzie o tem przedewszystkiem pamiętano, aby tego pierwszego warunku zdrowia nikomu nie brakło.

Ze wszystkich tych letnich ustroni Wiednia Baden najwięcej przyciąga corocznie gości, tak z Wiednia i z całej Austrii, jak i cudzoziemców, szukających uleczenia w jego mineralnych kąpielach. I nie dziwić się temu, skoro do bogatych darów przyrody umiejętny przemysł ludzki do dał tu wszystko, co może uczynić pobyt najprzyjemniejszym. Rozłożone u stóp gór lesistych miasteczko, na zielonym kobiercu otaczających je winnic, napół jest osłonięte gąszczami drzew i krzewów, zpośród których wyrastają wdzięczne kształty niezliczonych jego willi. Łączą je linia tramwajów z uroczą doliną Hileny, zapuszczającą się głębokim parowem pomiędzy górściany. Ile tam chłodu, woni i zacisznego spokoju, ten tylko pojmie, kto długie spędzał godziny w dalszych częściach tej cudnej ustroni, mogąc całkiem zapomnieć, że ma tak blisko siebie letni salon Wiednia.

Jest nim niezaprzeczenie Baden, dla tych, którym światowe rozrywki są zawsze pożądane. W wieczornej porze, przy dźwiękach wybornej muzyki, park oświetlony *a giorno* i werendy wspaniałego kurhauzu przedstawiają widok świetnego rautu odbywającego się pod sklepieniem nie-

ba, mającego za tło, w miejsce złoconego papieru obić, malowniczo wykreślające się gąszcze drzew, za sufit zaplatające się ich korony, poprzez które gwiazdy tu i owdzie migocą. Ale i tutaj jeszcze, ten, kto chce tłumy uniknąć, zawsze znajdzie spokojniejsze dla siebie miejsce, odszedłszy od głównych alei, po których świat eleganci wyłącznie się przechadza, głośno gwarząc nawet podczas muzyki; ta bowiem pomimo wrzokomego zamięłowania Wiedeńczyków do niej, zdaje nam się bywać tu dla większości słuchaczy, tylko pożądanym akkompaniamentem do ich żartów i śmiechów. Ciekawie przysłuchując się nieraz owym ożywionym rozprawom, zauważyliśmy, że sprawy gastronomiczne najczęściej bywają ich treścią, mianowicie zaś: gdzie najlepiej dają jaką potrawę i gdzie bywa kawa „najznakomitsza”—ta bowiem na równi z piwem i winem stoi tu co do znaczenia. Godnem jest także uwagi, jak ta publiczność, już z natury usposobiona do wesołości, byle czem się rozśmiesza; nawet ludzie wykształceńsi bardzo są mało wymagającymi pod względem dowcipu; świadczy zresztą o tem ubóstwo pomysłów w humorystycznych pismach, ilekoroć one wychodzą z zakresu miejscowej farsy—jeden tylko *Kikeriki* stoi nieco wyżej pod tym względem,—a jednak wszystkie chciwie są czytowane.

Taksamo jak od Wiednia odgłosy wesela zdają się brzmieć zdaleka, z Baden znowu, na samo jego wspomnienie, zalatuje woń kwiatów—róż szczególnie — dla każdego, kto już raz w nim przebywał. Bo też istne to królestwo kwiatów: takie ich wszędzie mnóstwo, tak się na każdym kroku swym widokiem i zapachem przypominają, otaczając każdą z willi ciągnących się nieprzerwanym szeregiem wzdłuż ulic. Najwytworniejsze pomysły ogrodniczej sztuki uwydatniają jeszcze bardziej owo bogactwo w najrozmaitszy sposób: tu pnące się rośliny nawpół przysłaniają pomieszczone przy ścianach posagi; tam na obszernym kobiercu z murawy rysują się różnobarwne kwiatowe arabeski, albo też porożadane zrzadka okazy róż przedziwnej piękności, mają za ochronę od słonecznych promieni chińskie parasole o dziwacznych malowidłach, na długich tyczkach poobsadzone.

Oprócz niezliczonych pomniejszych ogrodów, otaczających wille Badenu, posiada on w obrębie miasta kilka dosyć dużych, dostarczających przyjemnej przechadzki osobom, którym park wydaje się zbyt ludnym, co też stanowi wielką dogodność tutejszego pobytu; w każdym zaś widać tę samą umiejętną staranność utrzymania i kwiatów obfitość. Ile tych ostatnich bywa ztąd wywozonych, można ocenić przy odejściu każdego pociągu; wszyscy bowiem prawie z bukiętami lub z koszami kwiatów odjeżdżają, a jednak ubytku w nich nigdy nie widać.

Sąsiadujący z Badenem Vöslau, do którego sześć minut tylko drogi koleją, sprowadza też licznych gości z Wiednia, szczególnie w porze szkolnych wakacji. Rodzice najchętniej tam przywożą swoje dzieci, dla wybornej, bardziej już górskiego, powietrza, oraz dla lekko mineralnych kąpeli, wiele orzeźwiających i urządzonych z wszelką możliwą wygodą w dużym wodozbiorze, drzewami ocienionym. Pobyt tamtejszy, chociaż bardzo przyjemny dla osób poprzestających na łagodnych wrażeniach usmiechniętej przyrody, daleko mniej dostarcza rozrywek niż Baden, hojnie darzący niemi swych gości. W porze jednak największego swego zaludnienia Vöslau miewa tańczące wieczory tygodniowe, na których natpatrzeć się można zajmującego widoku polki i walca, tańczonych przez officerów austriackich z niezrównaną zręcznością ruchów i dystynkcją. Co do tej ostatniej, można-by powiedzieć, że wogóle bywa ona w Wiedniu wyłącznym udziałem wojskowych, którzy co do tego wyróżniają się wybitnie wśród ludności swoją powierchownością.

Z początkiem roku szkolnego Vöslau zaczyna wszelako szybko się wyludniać, jako niedający zasobu do weselszego spędzania wieczorów, coraz już dłuższych; Baden zaś, daleko lepiej uposażony co do tego, dopóżna zatrzymuje swych letnich mieszkańców, a w dni świąteczne zawsze



też licznych gości wyciąga z Wiednia. Wtedy dopiero, gdy pierwsze zimna zważy kwiaty przed oknami jego rozkosznych pałaców, wózki nładowane kuframi poczynają coraz dłuższymi szeregami ciągnąć ku dworcowi kolei, żaluzje okien zamykają się jedna po drugiej w willach, wokoło których opadają liście z otaczających je dotąd krzewów; potem zaczyna się wszędzie staranne zabezpieczanie roślin, balkonów i posągów od zimowych uszkodzeń, której-to roboty dopełniwszy, wreszcie hanzmaister—(inaczej mówiąc: stróż, tylko od naszych trochę porządniejszy)—zamyka główne wejście domu, i odszedłszy do swego mieszkanka od tyłu, czeka tam nadejścia wiosny, aby z-owu rozpocząć przygotowania na przyjęcie letnich gości, dla których zarząd miejscowy obmyśla tymczasem jaknajwięcej nowych rozrywek.

Czy jednak owa potrzeba zabawy, w tak wysokim stopniu rozwinięta u Wiedeńczyków,—może z powodu nadarzającej się do niej na każdym kroku sposobności,—na dobre wychodzi ogółowi ludności?—trudno byłoby na to się zgodzić. Przeciwnie ostateczności schodzą się nieraz w swoich wynikach: jeśli u nas brak zupełny stosownych dla ludu rozrywek przeszkadza zarówno jego fizycznemu, jak i moralnemu rozwojowi, to znowu nadmiar ich niemniej szkodliwie na warstwy niższe oddziaływa. W średnim stanie nawet, tam, gdzie szczupły dochód zaledwie daje opędzić konieczne potrzeby, niemała w nim czyni szczerbę grosz w wieczór zostawiony w gasthauzie przez ojca rodziny, który tam koniecznie spędzić musi parę godzin ze znajomymi. Nie odmawia on sobie tego, nawet wtedy, gdy żonie jego nie wystarcza na wyreżanie się choćby przychodnią służącą w domowych zajęciach. Z tego głównie powodu, dola kobiet tutejszych często bardzo przykra bywa. Czują to one same częstokroć i pomimo wrodzonej sobie pracowitości, bystrzejsze z pomiędzy nich miewają świadomość swego pokrzywdzenia. Dodać trzeba, że owo nawyknięcie mężczyzn do pozadomowych rozrywek rozluźnia coraz bardziej stosunek pomiędzy małżonkami, i że ztąd głównie wynika coraz to częstsze rozłączanie się ich, nie mówiąc o wielu domowych dramatach, o których gazety nieustannie się rozpisują.

Nieustanna owa pokusa zabawy, już dla drobnego mieszczaństwa tak tutaj szkodliwa, na uboższą jeszcze ludność tem gorzej oddziaływa. Jasność gazu tryskająca z niezliczonych kawiarni i garkuchni, dźwięki muzyki i wesołe gwary ztamtąd dochodzące, nieprzepartym muszą nęcić urokliwie biedaka, który poza sobą zostawił ciasną izdebkę skąpo oświetloną, gdzie żona jego prawie o głodzie pracuje dopótna. Jakże ma nie zajrzeć do tego przybytku szczęśliwości, stojącego mu otworem, na to, aby w nim zostawił zarobek, wystarczający ledwie na chleb powszedni?

Zamożniejsi rzemieślnicy i mieszczaństwo prowadzą często z sobą swoje rodziny do „gasthauzu“, ale i to ma swoje złe strony. Dzieci nawykają z dawna do gburowatej swobody obejścia i słowa, panującej w podobnych zakładach, domowe zaś ogniska, zwykle opustoszałe w godzinach wypoczynku po pracy, stopniowo tracą swe moralne znaczenie, z wielką krzywdą ogółu.

I czy także jest tylu ludzi szczęśliwych w tym rozbawionym Wiedniu, zdającym się być stolicą wiecznego wesela? Niestety, kłam zadają owemu przypuszczeniu wykazy statystyki, odsłaniające odwrotną, a wielce ciemną, stronę obrazu, tak z pozoru rozjaśnionego. Nigdzie prawie liczba samobójstw nie bywa tak wielką, jak w tem mieście, a w ostatnich czasach zwłaszcza, zwiększyły się one w sposób zatrważający poważniejsze umysły. Lada niepowodzenie, strata pieniędzy, choroba nieuleczalna, zawód miłosny, — słowem: wszelkie cięższe przejście życiowe ku temu ciągnie. Zdawałoby się, że w tej atmosferze przesiąkniętej samą zabawą, żyć nie podobna, nosząc jakkolwiek boleść w sercu. I tak jest może w istocie. Niedawno temu w zapełnionym ludźmi bańskim parku, podczas, gdy w nim muzyka grała, młody człowiek jakiś odebrał sobie życie wystrzałem, o kilkadziesiąt kroków od koncertowej estrady. Jakże straszliwie musiał czuć się osamo-

tniałym ten nieszczęśliwy wobec tego rozbawionego tłumu, i jakież musiały być jego myśli, podczas,—gdy się błakał wśród upojonych wesołością sam rzucony już na pastwę rozpacz?

Poznawszy raz Wiedeń, każdy z pewnością z tęskni niekiedy do rozweselających wrażeń, jakich on dostarcza tak obficie; jednak stały w nim pobyt nie zdawałby nam się pożądanym ani właściwym dla tych, którym tradycya i rodzinny obyczaj w połączeniu z warunkami obecnego bytu wytworzyły całkiem odmienne potrzeby duchowe i nastrój myśli owiele poważniejszy. Co do nas przynajmniej, żegnając owo miasto nieustającego karnawału, szliśmy już serca tęsknotę ku innemu, owiele uboższemu wprawdzie i mniej wesołemu, ale gdzie duszy cieplej jakoś bywa i przytulniej, — gdzie jeśli nie iskrzą się na każdym kroku wieczorami wystawy kawiarni i restauracyi, za to po mieszkaniach prawie wszędzie w oknach świeci się, bo tam rodzice w domu z dziećmi swymi i z przyjaciółmi dzień zakończając, za najmiłą mają to sobie rozrywkę po pracy.

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Poszukiwania archeologiczne p. Maspero w Luxorze.—Rozpawite mumie Sezostrysa i Ramzesa III.—Nowy wróg winic.—Begonia jadalna.—Nowa kopalnia rtęci.—Hyena jaskiniowa w grocie Gargas'a.—Zbadanie wielkich jezior Afryki równikowej.—Rezultaty wyprawy Révoila'pa do kraju Somali Tornado sfotografowanie.—Elektrochemiczne bielenie tkanin.—Czyszczenie lignitem soku burakowego.

(Dalszy ciąg)

W grocie Gargas (we Francji), Felix Régnault wykrył *Hyenę jaskiniową*. Pierwszy-to raz znaleziono *całkowity skielec* hyeny kopalnej; z tego też względu nowo-wykryty okaz jest niepospolite cennym nabytkiem paleontologicznym. W wiekach przedhistorycznych hyeny były wielce pospolite w Anglii i Francji. Niszczyły one wielką ilość zwierząt w epoce czwartorzędowej, nie oszczędzając i swego własnego gatunku—krużyły swym żarłocznym zębem nawet kości, i dlatego dotąd tylko szczątki niezupełne i mocno uszkodzone zwierząt kopalnych znajdowano.

Geneza odkrycia Régnaulta jest dość ciekawą. W Wyższych Pyrenach niedaleko od Montrejeau istnieje przepyszna rozległa grotta, upamiętniona legendami, zwana *jaskinią Gargas'a*. Dr. Garrigon i Chastaigner pierwsi na tę grotę zwrócili uwagę uczonych. Korzystając z ich wskazówek Régnault przedsięwziął staranne i mozolne poszukiwania. Rozkopy trwały rok cały; w głębi grotty natrafiono na studnię o ścianach prostopadłych, mającą, co najmniej, 20 metrów głębokości to jest prawie 70 stóp polskich. Do studni tej zwanej *wieżniem Gargas'a*, nikt się do czasu poszukiwań nie dostał.

Party żądzą wiedzy, bez względu na niebezpieczeństwo zaduszenia się w tej przepaści, z której mogły się wywiązywać zabójcze gazy, Régnault powiązał z sobą drabinki sznurowe i po nich zapuścił się w głębie studni. Z niemałym zdziwieniem znalazł tu skielety całkowite wielkiego niedźwiedzia, wilków i hyen. Czy zwierzęta te za życia wpadały do owej studni, czy też po śmierci tu stracone zostały, niemożliwym jest stanowczo orzec; ze względu wszakże zachowania się skieleców bez uszkodzenia, zdaje się prawdopodobnym, że hyeny nie mogły dla pożarcia trupów rzucić się do studni głębszej na dwadzieścia metrów. Badania poczynione nad temi zwierzętami kopalnymi przez Gaudry'ego, znakomitego paleontologa francuzkiego, okazały, że hyena jaskiniowa należy do tegosamego gatunku, co plamista, żyjąca dziś w południowej Afryce; też same bowiem ustrojowe cechy przedsta-

wiają hyeny plamiste, pęgowane i jaskiniowe. Jedyną różnicę stanowią kości, nierównie grubsze, hyeny jaskiniowej.

Wiktor Giraud badacz Afryki Środkowej, powrócił do Francji po trzechetniej podróży z wielu cennymi zbiorami i bogatym plonem poszukiwań naukowych, które dałyby jeszcze świetniejszego rezultaty, gdyby przeciw niemu nie podnieśli zuchwałego rokoszu ludzie należący do wyprawy.

Dla zbadania serca Afryki Giraud poświęcił sto tysięcy franków, narażając się wielokrotnie na utratę życia wśród dzikich plemion tej ziemi. Giraud zamierzył brzegów Wschodniej Afryki dostać się do Zanzibaru i najkrótszą drogą przedrzeć się do jeziora Bangueolo w sąsiedztwie którego zakończył życie Livingstone. Następnie miał zwiedzić to tak mało znane jezioro zapomocą statku przenośnego żelaznego, który zabrał z sobą w podróż; wreszcie spróbować chciał żeglugi na rzece Luapula, wypływającej z jeziora i będącej jednym z dopływów wielkiej rzeki Kongo. Nadto Giraud powziął śmiałą myśl przebycia tej olbrzymiej rzeki i zbadania z tej strony całego Łądu Afrykańskiego. Nie jego wina, że ten szeroki programat nie został w zupełności wykonany. Niepospolitą do przewyciężenia trudność przedstawiał transport statku metalowego przez okolice bezdrożne wśród deszczów potokowych, tak częstych i gwałtownych pod równikiem. Giraud był zmuszonym wybrać porę deszczów (massika) w czasie wyruszenia w drogę, gdyż inaczej nie zdążyłby przybyć do jeziora Bangueolo w porę suszy, jedynej, w której jest ono dostępnem. Do posługi w przenoszeniu statku i żywności wynajął 120 ludzi i 27 Grudnia 1882 roku puścił się w drogę. Massika rozpoczęła się wkrótce, a wraz z nią i niewypowiedziane trudności pochodu.

„Straciłem cały miesiąc czasu,—powiada Giraud,—aby się wdrzeć zmoją ciężko obciążoną karawaną na urwiste stoki górskie; a tu ludzie niosący statek często marnowali cały ranek na przebycie pięciuset metrów, po ścieżkach tak wąskich, jakich nigdy nie napotykałem w Alpach.”

Po przebyciu pięciuset lub tysiąca metrów, potrzeba było wypoczywać, aby nazajutrz osiągnąć wyżyny na 2,500 lub 3,000 metrów wysokości, a na drugi dzień powtarzała się tażsama, wyczerpująca siły, praca.

Ta nużąca podróż trwała przez cały miesiąc bez wytchnienia, bez przerwy, wśród potoków deszczów dyluwalnych, od których namiot bynajmniej nie zabezpiecza. Zrana cały pochód odbywał się wśród ciągłej ulewy bez wiatru, po upływie zaś godziny lub dwóch zaczynały wicherzyć huragany zwrotnikowe. Na urwistych nagich skałach, pozbawionych prawie całkiem roślinności, nie napotymano żadnego drzewa, tak, że potrzeba było zabierać z sobą materiał opałow, któryby na dwa lub trzy dni starczył. Przy roznieconym ogniu suszono odzież przemokłą do nitki i gotowano posiłek.

Pierwszy ten miesiąc podróży był tak uciążliwym, że Giraud, pomimo całej swej energii, musiał wyrzec się w części swego przedsięwzięcia, przechodzącego ludzkie siły.

Rozmaite okolice, przez jakie przechodził, są zarządzane przez naczelników, srogich ciemiężców, pozostających z sobą w nieustannej wojnie, wypowiedanej za pierwszym niczem nieusprawiedliwionym pozorem. Na poparcie tego podróżnika francuzki przytacza, że naczelnik Elemba zwany Ketimkuru, zapytany o przyczynę wojny, jaką prowadził ze swymi sąsiadami, nie mógł jej wynaleźć.

Nieprzyjaźń tych naczelników plemion, upartych, mściwych, jest nieszczęśliwym z najgroźniejszych niebezpieczeństw, na jakie narażają się w tych stronach wędrowcy. Przebiegli, chytry, gdy nie mogą siłą nagiąć do swych celów Europejczyków, poszukują środków ogłodzenia ich, a wtedy ofiarują im żywność pod tym jedynie warunkiem, że broń porzucą. Nieszczęśliwi ci, pozbawieni obrony, pozostają wówczas na łasce okrutników i najczęściej zostają wymordowani.



Potrzeba zręcznej dyplomacji i niepospolitej energii, chcąc się z ich rąk wydobyć.

W takich - to warunkach, wśród niepewności o życie i krwawych walk staczanych z Murzynami, Wiktor Giraud zwiedzał jezioro Bangueolo, Luapula i Moero, a następnie dotarł do jeziora Tanganika. Dokładne zbadanie jeziora Bangueolo dało mu poznać, że brzegi jego nie są bezludne, jak powszechnie mniemano, lecz, przeciwnie, wielce zaludnione.

Rozlew jeziora Luapula do jego ostatecznych krańców był dotąd nieznanym; Giraud oznaczył ściśle jego granice.

Niestrudzony ten wędrowiec badał głównie rozległy obszar ziemi rozpostarty między jeziorami Bangueolo i Luapula, oraz między Tanganiką i Nyassą, a więc kraje, które bardzo niekładnie były znane geografom; wielu też nowymi odkryciami zbogacił pracę swych poprzedników. Giraud nie cofający się przed żadnym niebezpieczeństwem zdołał dotrzeć do jeziora Tanganika, lecz tu opuszczony nieszczęśliwie przez swą karawanę, zmuszonym był wyrzec się dalszych poszukiwań, stanowiących ostatnią część śmiałego jego programu.

Niepodobna w treściwej naszej relacji opisywać trudów, jakie musiał ponosić ten nieustraszony wędrowiec; dość nadmienić, że wracał prawie sam jeden, otoczony tysiącami niebezpieczeństw, często pozbawiony żywności, znużony zgłodniały i napastowany przez ludzi dzikich od zwierząt drapieżnych. Spostrzeżenia tego wędrowcy godne są zaznaczenia. Przez długi czas doczytywano Afrykę za niezmierną pustynię; pogląd ten w ostatnich czasach ustąpił nowemu, wprost przeciwnemu, że tak powiemy, legendowemu. Wyobrażano sobie, że ta część świata jest rajem ziemskim, bogato uposażonym od natury, że skarby tej ziemi oczekują tylko na przyjsięcie Europejczyków, którzy mogliby z nich czerpać do nieskończoności. Giraud prostuje tę opinię, a słowa jego mają wielką wagę, gdyż trzy lata spędził w kraju, który poznał, jaknajdokładniej. „Krajowcy, powiada on, żyją w przerażającej nędzy na ziemi bezpłodnej, tyranizowani przez swych naczelników.“

„Przez kilka miesięcy spożywają lichej plon swych zbiorów, poczem, gdy ta żywność się wyczerpie, żywią się przez resztę roku grzybami, korzonkami roślin i miodem dzikim. W tej przekłętą porze rocznej ścieżki są zasłane trupami; widziałem też Murzynów zaspakajających głód liśćmi spadłymi z drzew i sparzonymi ukropem, oraz owocami wszelakiego gatunku wpół zgniłymi, robaczliwymi, których nie tknęłaby u nas trzoda chlewna.“

„Wyżywienie karawany w ciągu całej podróży, stanowiło najważniejsze moje zajęcie; bez polowania na zwierzynę, nigdybym nie zdołał doprowadzić do końca mej wędrowki. Z drugiej strony faktem jest niezaprzeczonym, że w Afryce zwrotnikowej wyludnienie wzrasta; wpływają na ten rezultat ustawiczne wojny, głód i handel Murzynami, któremu nie jest w stanie przeszkodzić. Jeżeli zwrócimy uwagę, że na przestrzeni 25 kilometrów kwadratowych nie znajdziemy stu ludzi płci męskiej, stawić sobie musimy zapytanie czy w ciągu wieku: trzy czwarte tej nieszczęśliwej ludności nie zniknie z powierzchni ziemi? Europejczyk zresztą nigdy nie powinien liczyć na krajowców, że upłodnią mu tę ziemię dziewczą. Zrodzony wolnym, niezależnym, Murzyn środkowej Afryki nie sprzeda nam nigdy swej swobody za kawałek chleba, jaki mu chcemy ofiarować.“

„Nie sądźmy, aby można było eksploatować tę ziemię. Wyobraźnia nasza przedstawia nam środkową Afrykę z całym bogactwem roślinności

zwrotnikowej, takiej, jaką widzimy na pobrzeżach zachodnich, gdzie przyplawy morza, wkraczając głęboko, utrzymują w świeżości ożywionej, palmy wszelkiego gatunku, kokosy, banany, kaktusy, aloesy i nieprzejrzone lasy dziewicze.

„W głębi wszystko to złudzeniem; wprawdzie Afryka środkowa jest cała zadrzewioną, lecz jej drzewa są karłowate, liche, zgnęźniałe, niezabezpieczające nawet cieniem od słońca.

„Niema też co tu liczyć na bogactwa natury. W mojej podróży napotkałem dwa tylko metale: miedź i żelazo. W Zambezie są dwie kopalnie złota, których eksploatacja jest nierozwiązalna; słonie znajdują się wyłącznie tylko w samej głębi Afryki; transport więc kości słoniowej kosztowałby Europejczyka drożej od wartości tego produktu. Handel zresztą kością słoniową pozostawiać będzie zawsze w ręku Arabów i metysów portugalskich, aby zaś był korzystnym, musi być prowadzonym łącznie z obrzydłym handlem niewolników.“

Jakkolwiek Wiktor Giraud, opisuje tylko tę część prastarej Etyopii, jaką zwiedził, potrzeba jednak odnieść jego spostrzeżenia do dalszych obszarów tej ziemi, i nie ludzić się co do korzyści jakie mogliby pozyskać Europejczycy osiedlając się w środkowej Afryce.

(Dokończenie nastąpi).

## DROBNE LISTKI.

**Listy z Piekiła**, w humorystycznym tonie trzymany obraz nowoczesnego życia, napisany niedawno przez Duńczyka: Maxa Rovell, został już tłómaczony na francuzki, niemiecki i angielski język. Krytyka znajduje pewne podobieństwo między tem dziełem a książką Maxa Nordau: „Kłamstwa naszej cywilizacji“. Styl i wogóle forma ma być świetna; jakkolwiek autor ostro dotyka wszystkiego, nawet systematów panujących religii, jednak rzecz nie musi być w gruncie niereligijna, ponieważ na język francuzki tłómaczył to ksiądz, pastor protestancki: Ludwik Ducros. Odrodzenie społeczeństwa ludzkiego opiera autor na rzeczywistym wypełnianiu cnót chrześcijańskich.

**Ristori** zamierza ogłosić pamiętniki swoje, które wyjdą odrazu w czterech językach: włoskim, francuzkim, angielskim i niemieckim.

**Protokół życia**, pod tym tytułem wyszła świeżo w Paryżu napisana przez Maurel-Dupeyre ciekawa i wyższej wartości książka, w której autor wykazuje rolę, jaką człowiek odegrał na ziemi od pierwszych czasów jej istnienia, żyjąc wciąż „prawie bez zmiany“. System moralny, podobnie jak rządzący światem fizycznym system fizyczny, ulega specjalnemu prawom niemiennym a te są: praca, modlitwa, cierpienie. Niesmiertelna ta troistość zamyka w sobie od początku wieków przeznaczenie ludzkości, tłómacząc je zarazem. Prawdziwa godność i uszlachetnianie się człowieka jest w praw tych wykonywaniu, a postęp polega na ich równowadze.

**Rachunek wydatków rodziny Ludwika XVI-go** w czasie jej więzienia w Temple, został odnaleziony a przedstawia go spis zakupów, jakie dla niej czynił odzwierzy więzienia, Mathey: mydła trzy funty, wody z kwiatu pomarańczowego półbutelki, dzieła Delilla, dwa egzemplarze konstytucji francuzkiej, 16 utworów Pleyel'a i Haydna, które kosztowały 183 liwów, „L'himne des Mar-

seillois“ (1 liwr i 10 soldów). Zatem Marya Antonina, która grywała dużo w więzieniu, grała i Marsylianę. Jest podanie że w wilią śmierci odegrała ją w obecności jednego z komisarzy rewolucji. Mathey podał w rachunku ośm i pół godzin czasu, strawionego na robienie tych sprawunków.

**Gorączka złota**, panująca obecnie w Południowej Afryce, nic nie jest mniejszą od tego, co działo się niegdyś w Kalifornii i Australii. Każdy okręt, płynący ztamtąd, donosi o nowo odkrytych pokładach i nęczone tem tłumy ludzi spieszą tam: awanturnicy, biedacy i spekulanci, którzy znajdują się zawsze w obozach, tworzących się u każdego nowo otwartego szybu. Jako dodatek do kopalń Transwaalskich, złoto, jak się zdaje, zostało odkryte w Wetwatersrand, oraz w dwóch innych jeszcze okręgach Transwaalskiej Rzeczypospolitej: w Heidelbergu i w Waterbergu. Donoszą o takich również odkryciach w Zululandzie blisko granic Natalu, a także w dalekiej, na wschód Transwaalu położonej krainie Amaswaziland, jeszcze niepodległej i przez krajowców wolno-rządzącej się krainie, którą jednak holenderscy Boerowie „napoczynają“, jak piszą Anglicy, prorokując, że „połkną“ ją wkrótce. Tymczasem złoto peha w pośród tej ludności pierwotnej dziką namiętnością niesione tłumy. Odkryto także złoto w innej, wolnej jeszcze krainie Orange i w Cap-Colony. Kopacze złota w miłosnem ku niemu uniesieniu, dają odkrytem szybom wspaniałe nazwiska jak: „Kółko Fortuny“, „Pałac królowej Saby“, „Raj odszukany“. Brzmia tam wszystkie znane języki, i nasz może, bo między najsmielej na poszukiwania ciskającymi się „łowcami złota“, wymieniają Komirowskiego ze „swoim szwadronem“. W Transwaalu znajduje się obecnie sześć tysięcy ludzi, cisnących się do kopalni, ale nie wszyscy znajdują zarobek i gromady wędrownych, do ludzi niepodobnych istot, rozchodzą się po okolicy, aby umierać z głodu i wyczerpania. Jest to właściwością afrykańskiego złota, że znajduje się w pokładach kwarcu i potrzeba potężnych maszyn, aby go wydostać, ztąd też nowe odkrycia, jakie mogłyby być czynione przez pojedynczych ludzi, z garstką towarzyszy, nie dadzą się im eksploatować na własną rękę, jak to miało miejsce w Australii. Afrykańska Fortuna, jest boginią wyniosłą i nie chce się schylić do biedaków.

**Wybory na wielkich ludzi** zostały ogłoszone przez jedno z brukowych pisemek londyńskich. Liczyć się oni mieli od 1500 r., a lista miała ich zamykać dwudziestu. Po obrachunku głosów pokazało się, że największym wyszedł z tych wyborów Napoleon I. Gladstone jest w dziewiątym stopniu wielkości. Waszyngton stoi niżej. Na liście znajduje się też i Dumas starszy, Tennyson, Stephenson, Carlyle, Burns. Jedyną z wymienionych kobiet jest Beecher Stove (autorka powieści *Chata Wujka Toma*, w której podnosi głos za wyzwoleniem Murzynów). Uderza to jednak, że lud angielski obrał na pierwszego wielkiego człowieka tegoczesnej ludzkości — Napoleona.... Znać czują potrzebę bohatera.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczo* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Uboga kuzynka**; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Jaskółka**, przez Remigiusza Gourmont.

**TREŚĆ.** Ciężkie czasy, 11, przez M. Ilnicką. — Pogawędka. — Gasnąca dusza, powieść przez M. Gawalewicza. — Po skończonym sezonie, przez R. Pleniewiczza. — Kilka wspomnień z Wiednia i z jego okolic, (dokończenie). — Z działu przyrody, (dalszy ciąg), przez W. Niewiadomskiego. — Drobne listki.

**Dodatek obejmuje:** Dokończenie powieści pod tytułem: **Uboga kuzynka**; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Jaskółka**, przez Remigiusza de Gourmont. — Przegląd mód. — 19 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.